Nr 48. We Lwowie dnia 28. listopada 1897. Rok 5.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Echa listopadowe w poezji Mickiewicza.

Wieść o rewolucji listopadowej dobiegła Mickiewicza w Rzymie... Poeta w niezwykłym wówczas znajdował się nastroju: serce jego krwawił zawód w dziedzinie uczuć najbardziej osobistej natury, — myśl błąkała się w zaziemskich, mistycznych sferach, gdzie nie biją pioruny walk, nie szumią na dziejowym wichrze płomienne sztandary buntu...

Pobyt w Rzymie, dokąd Mickiewicz przybył w listopadzie 1829 r., głębokie pozostawił ślady na duchowem jego obliczu. Tu na zgliszczach — nigdy doszczętnie nie wygasłych — pierwszej wulkanicznej miłości rozwinęło się w sercu poety spokojne, ale głębokie uczucie dla Ewy Ankwiczówney. Tu, w atmosferze stolicy papieskiej, „rozumne, gromowładne czoło“ zgiął przed — dogmatami katolicyzmu.

Zażyły stosunek z księdzem Chołoniewskim, rozczytywanie się w utworach ks. Lamennais, wymownego rzecznika powagi, śmierć na wygnaniu dwóch drogich przyjaciół, Filaretów, nawet sfera towarzyska, wśród której się obracał — wszystko to zwracało myśl twórcy rewolucyjnego Wallenroda na zgoła odmienne tory. Była nawet chwila, gdy — trawiony tęsknotą za krajem, utraciwszy ostatecznie nadzieję poślubienia Ankwiczównej, sądził, że ma powołanie do stanu duchownego.

Nastrój ówczesny poety kładzie wyraźne piętno na — niezbyt zresztą obfitej — twórczości jego literackiej z tego okresu.

O przełomowej pracy wewnętrznej autora świadczą takie utwory, jak: „Do Marceliny Łempickiej w dzień przyjęcia Komunji św.“, „Rozum i wiara“, „Rozmowa wieczorna“, „Arcymistrz“, „Mędrcy“. Świadczy o niej też i najbardziej nas tu obchodzący słynny wiersz „Do Matki Polki“.

Poeta zwraca się w nim do niewiast polskich i mając jakby jasnowidzenie niedalekiej przyszłości, skupia światło na jednym tylko punkcie olbrzymiego obrazu, mówi o jednym — jedynym wyniku walki — o męczeństwie. Przepowiadając Matce-Polce, że serce jej, podobnie jak serce Matki Bolesnej, przeszyje ostrze miecza, odejmuje ostatnią nawet pociechę w niedoli, nadzieję, że za cenę ofiar i cierpień okupi szczęśliwszą dla ojczyzny przyszłość, „Bo choć w pokoju zakwitnie świat cały, choć się sprzymierzą rządy, ludy, zdania“, jej syn, „wyzwany do boju bez chwały i do męczeństwa.. bez zmartwychpowstania, nie pójdzie, jak dawni rycerze, utkwić zwycięski krzyż w Jeruzalemie, ani jak świata nowego żołnierze na wolność orać... krwią polewać ziemię“. Nawet śmierć nie wynagrodzi mu zawodów życia, nie otoczy jego wspomnienia aureolą chwały, którą wdzięczna pamięć ludzka zapalać zwykła nad kopcem mogilnym bohaterów: „Zwyciężonemu za pomnik grobowy zostaną suche drewna szubienicy, za całą sławę krótki płacz kobiecy i długie nocne rodaków rozmowy“...

Ponury, beznadziejny obraz! Duszę, w której powstał, zalegać musiały gęste mroki smutku, ciężkie łez opary. Mogłaż wobec takich przeczuć, takiej przepowiedni rozbrzmieć w niej radośnem echem wieść o powstaniu narodowem? — Przyszły wódz legjonu spoglądał teraz bez wiary i zapału na waleczne szeregi narodowe, na bohaterów Wawru i Grochowa; poeta, który wkrótce potem miał zanosić natchnionemi usty w „Litanji pielgrzyma“ błagalne modły „O wojnę powszechną za Wolność Ludów, o broń i orły narodowe“, widział teraz w wybuchu wojny za wolność własnego narodu tylko zapowiedź nowych klęsk, —

nie spieszył tam, gdzie ta broń błyskała w słońcu, czerwona od krwi, gdzie orły powiewały dumnie nad polem bitwy, zoranem kulami...

Duch Mickiewicza, zaklęty w słowa nieśmiertelnej pieśni, unosił się od pierwszej chwili nad zrywającym nikczemne pęta narodem. W pamiętnym dniu trzecim grudnia, kiedy Warszawa zawierała w imieniu całej Polski przymierze z powstaniem, na murach stolicy zajaśniał, wielkiemi wypisany literami, ustęp z *Ody do młodości*: „Witaj jutrzenko swobody, za tobą słońce zbawienia“. Odę śpiewano też na ratuszu, — wzywano jej twórcę do powrotu w ojczyste progi. A on, pełen niepewności, wahania, rozterki wewnętrznej, już to zrywał się do lotu ku swoim, ku walczącej braci, już przypadał ponownie do ziemi i nie mogąc zdobyć się na działanie, w kornej modlitwie „wylewał burzę, we łzy roztopioną“.

W tem szamotaniu się wewnętrznem marnowały się siły, uchodził czas, i oto w pobliżu już granicy, w Poznańskiem, poeta odebrał wiadomość o ostatnich strzałach w Królestwie, o poddaniu się Warszawy...

Stało się. Wódz duchowy narodu nie przelał z nim wspólnie krwi, nie dzielił jego tryumfów i klęsk, zwycięstw i niedoli. Ogrom wynikłej stąd straty Mickiewicz ocenił dopiero później i do bólu nad upadkiem narodu przyłączyło się ostrze cierpienia osobistego.

Ale ból, ale cierpienia to źródła najwyższych natchnień dla duchów wybranych. Łzy smutnych źrenic, krew rozdartego serca tchnienie genjuszu zamienia w jasne perły, w purpurowe kwiaty poezji. To też i usta naszego wieszcza, zaciśnięte chwilowo skurczem rozpaczy, rozwarły się słowem nieznanej przedtem potęgi. Z mąk ojczyzny, z palących ran własnej piersi wysnuł arcydzieła, o których miał prawo zawołać:

„Taka pieśń jest siła, dzielność, taka pieśń jest nieśmiertelność!“

(Dok. nast.). *M. Wysłouchowa.*

W GÓRACH KAUKAZU.

(Ciąg dalszy).

Paweł położył się na ziemi i ostrożnie przysunął się nad sam brzeg urwiska. Wisieli nad przepaścią, na strasznej wysokości. Skała podmyta przez wodę, chyliła się i obsypywała w potok, szalejący wśród rumowisk. Światło miesięczne, przekradając się przez niewidome otwory, na wodę i na głazy kładło dziwaczne plamy jasne i ciemne.

— Nie, trzeba być szaleńcem, żeby się włóczyć w nocy po takich wertepach.

— Będziemy szukali na prawo.

— Tam ściana prostopadła. Ki djabeł wiódłby drogę wbrew zdrowemu rozsądkowi! Śmiem przypuszczać, że i Czerkiesi są ludzie! Zjedźmy na dół, a drogę znajdziemy w łożysku strumienia.

Koluś milczał nieprzekonany, lecz nie chciał gniewać rozdrażnionego Pawła.

Zeszli więc i puścili się brzegiem wody wśród wysokich skał. Wąwóz stał się wkrótce tak wązki, iż potok wypełniał go prawie zupełnie. Łoskot wodospadu stawał się coraz wyraźniejszy. Kiedy zniknęły pod wodą ostatnie krawędzi brzegów, Koluś i Paweł musieli iść dalej, skacząc przy fosforycznych blaskach zbałwanionych fal po głazach omszałych, śliskich i drżących. Droga była nie do przebycia, szczególnie na wiosnę. I tym razem musieli się wrócić.

Nie trzeba odchodzić od miejsca, gdzie zgubiliśmy drogę... Przenocujemy, a o świcie albo pójdziemy dalej, albo wrócimy... — radził Koluś

— Pst!... Słyszałeś?.. — rzekł Paweł, chwytając mówiącego za rękę.

Utkwili oczy w stromy stok, porosły krzewami, po którym ktoś ostrożnie ku nim się skradał. Gałązki trzeszczały pod jego nogami, kamyki, strącone z pochyłości, leciały na dno wąwozu.

— Niedźwiedź!.. — szepnął Paweł. — Ja strzelę pierwszy..

Postąpił krok naprzód i odwiódł kurek. Chociaż to robił, jak mógł, najostrożniej, suchy trzask stali przeniknął szum potoku. Zwierz, który już był na brzegu zarośli, zatrzymał się, a w chwilę potem słychać było, jak cichutko umykał z powrotem na górę.

— Uciekł!.. Dlaczegoś na szmer nie strzelił? — wymawiał z goryczą Koluś.

— Za krótko jestem na Kaukazie! A przytem... nie chciałem zabić człowieka lub krowy...

— Człowieka!... tutaj!..

Mieli wielką ochotę pokłócić się, więc szli w milczeniu.

— Pluń! pluń! pluń! a będzie ci lepiej.. — zaśpiewał nakoniec Paweł i położył rękę na ramieniu towarzysza.

— Jutro się poprawimy. Kozice przegapiliśmy, to prawda, ale uprosimy Piotra, żeby nas poprowadził na niedźwiedzia. Pamiętam, mówił mi, że gdzieś tam blizko jest ich cała rodzina.

Niedaleko miejsca spotkania z niedźwiedziem znajdowała się góra, na której zgubili drogę, więc tu postanowili zanocować. Pod

urwiskiem jak raz znajdowało się zagłębienie, wysłane warstwą piasku i drobnych kamyków, gdzie można było położyć się, nie narażając się na pokaleczenie. Miejsce to krzaki łoziny otaczały naturalnym płotem, z urwiska żywym dachem spuszczały się nad niemi krzewiny. Nazbierawszy gałęzi i chróstu, rozniecili ogień, a że dla rozweselenia chcieli ułożyć duży stos, więc zostawiwszy dubeltówki, wybrali się na poszukiwanie drew. Koluś wdarł się na górę, i wkrótce stamtąd rozległo się jego wesołe wołanie.

— Pawle, chodź tutaj! Znalazłem nieprzebrane kopalnie.

I rzucił z trzaskiem na dół ogromną kłodę drzewa.

— A widzisz, mówiłem ci, że las stąd niedaleko... — rzekł Koluś.

— A jakże... jest, tylko gdzie?... — bronił się Paweł.

Wspólnemi siłami zaczęli zrzucać na dół pnie i wykroty, które, tocząc się, łamały po drodze krzewy i porywały z sobą kamienie, takim łoskotem napełniając powietrze, że głuszyły ryk wodospadu. Kiedy buchnął płomień wielkiego stosu, cały wąwóz w czarodziejskiej wystąpił postaci. Wśród szczerbatych zrębów zatańczyły purpurowe blaski, wznosząc się aż do samych wierzchołków, gdzie nad krawędzią zwieszały się drzewa i krzewy, zdrobniałe do rozmiarów trawy wskutek odległości, i na tle ciemnego nieba, usianego gwiazdami, to pojawiały się, to znikały. Myśliwi, zamyśliwszy się, siedzieli u ognia, a sylwetki ich niepewne, blade na tle czerwonego ogniska odbijały się w ciemnej wodzie szybko mknącego potoku.

— Jak w operze! — odezwał się Paweł.

— Lepiej, niż w operze.

— Kwiaty, powiedźcie jej, że kocham ją...“ próbował zanucić Koluś, lecz urwał, zerknąwszy na towarzysza.

— Nasz niedźwiedź zażywa strachu — roześmiał się Paweł, w chwili gdy kamienie od żaru ogniska z hukiem pękać zaczęły.

— Ucieka pewnie, stuliwszy uszy, a jeśli dożyje, to przyjdzie tu za dni parę. Będzie parskał na popiół i skakał z przestrachu wśród jego tumanów.

— Czy widziałeś kiedy?.. Jakiś ty, Pawle, szczęśliwy!... Jak ty wiele widziałeś!...

— Szczęśliwy?... Niebardzo. A ty?

— Ja?... Siedzę w tej kolonji.. kruszyny świata nie widziałem... Dlaczegóż ja?

— Boś... kędzierzawy! — w zamyśleniu powiedział Paweł.

Koluś utkwił weń zdumione oczy.

— Kędzierzawy?... Ach, rozumiem!... Wszak to dziś powiedziała mama.. A ty wszystko pamiętasz!... Wiesz co? na przyszłą jesień po robotach w polu pójdziemy w góry. Na trzy tygodnie, na miesiąc puścimy się... Kociołek, proch, śrót, pled przez ramię i marsz! Boskie są na Kaukazie kąty! głuche, dzikie!...

— Za rok, kto wie, gdzie będę!...

Zamyślił się i nie odpowiadał więcej na pytania towarzysza.

— Nie smuć się! — rzekł wreszcie tenże. — Pamiętaj, że jeśli ci *tam* będzie nie dobrze, my zawsze przyjmiemy cię z otwartemi rękami.

Paweł położył dłoń swoję na jego dłoni i w milczeniu uścisnął ją zlekka.

Zjedli chleba ze słoniną na wieczerzę, zapili wodą z potoku i, zawinąwszy się w pled, legli na podścioła ze świeżych gałązek.

Jeszcze gwiazdy świeciły na niebie, gdy Paweł zerwal się i usiadł. Ogień zgasł, pled zwilgotniał, od skał wiało chłodem. Duże krople rosy ściekały z listków zwieszającej się nad niemi wikliny.

Świtanie i mgła wypełniły wąwóz mleczną jasnością bez cieni.

— Hej! Komu w drogę, temu czas!... Wstawaj, chłopcze!

Koluś przeciągnął się i ziewnął.

W kwadrans potem już się wdzierali na wierzchołki, słabo zaróżowione od brzasku. Nie dziw, że wczoraj zbłądzili! Któż to mógł wiedzieć, że droga szła prawie pionowo, jak po szczeblach, po czarnych, zwietrzałych złomach!

— A jednak nie ulega najmniejszej wątpliwości, że tędy jeździli konno, nawet po nocach przewozili zdobycz!... — tryumfująco rzekł Koluś.

Na wierzchołku skały rósł las. Tu natrafili na świeży pomiot niedźwiedzi.

— Tędy wczoraj umykał. A co? pójdziemy za śladem? — zapytał Koluś.

Paweł wstrząsnął przecząco głową. Przedewszystkiem muszą wejść na Dar-beg. Drożyna powiodła znowu brzegiem przepaści. Ale Paweł nie doświadczał już trwogi. Czuł owszem, że budzi się w nim żądza niezwykłych wrażeń. Ten uroczy poranek na wyżynach, to powietrze czyste, orzeźwiające, ta dal przejrzysta, a wszystko oddychające taką świeżością, jak gdyby każden przedmiot z osobna obmywali nocą w rosie gospodarze gór — przejmowało go dziwnem, nieznanem mu dotąd uczuciem.

Obaj, jak dzieci, krzyczeli i, uczepiwszy się gałęzi drzew, zwieszonych nad przepaścią, spoglądali w dół, gdzie w szczelinach po stopniach skał z hukiem toczyły się wodospady, przelewał się rozszalały wrzątek, kipiący pianą, roznosząc tumany perlistej kurzawy, w której pływały szmaty tęczy tam, gdzie musnęło go słońce. A on — z pod tęczy, z pod słońca uciekał z rykiem, jękiem, z tententem, z zaciekłością taką, że drżały w posadach swych urwiska. Niekiedy tworzył baseny turkusowe, przejrzyste, gdzie białość skał i głębia wody łączyły się w cudownych półtonach, i gdzie —

panowała cisza. Daleko, gdzie w głębi huczała kolumna spadającej wody, leciały od niej bryzgi; ale potok płynął bez szmeru, nieporuszony prądami łożysko jego zasilających wód, spokojny, odbijający w sobie ze skał zwieszające się dęby i buki, wystające urwiska i pęki promieni słonecznych. I znowu — nagle, niespodzianie przeginał się poza zrąb urwiska i nadmiar swoich wód wyrzucał z wściekłością, z rykiem roztrącał się o skały i białą pokrywał się pianą.

— Ot, gdzie kąpały się niegdyś rusałki! — rzekł Paweł.

— Dobre to, ale znowu nam grozi, że czasu dużo zmarnujemy i na kozy nie zdążymy — rzekł Koluś.

Przyspieszyli więc kroku i tylko raz jeden zatrzymali się, gdy rozstąpiły się przed niemi góry, a w dali zamajaczyło morze. Pozostawało im jeszcze jedno przejście trudne, strumień ślizki, a byli bardzo zmęczeni, bo słońce piekło niemiłosiernie; więc, przechodząc przez dębowy gaj, zdjęli kapelusze z głów pałających. Dróżkę przecinał maleńki strumyk, ale wody w nim było tak mało, że napić się nie było można, aż Koluś odszukał wgłębienie, gdzie zebrało się jej trochę Nachylił się i chciał zaczerpnąć, ale w tejże chwili cofnął się, wydając okrzyk:

— Patrz, jakie caca!

(C. d. n.). *Wacław Sieroszewski.*

Odczyt Dr. B. Dybowskiego

w Tow. przyrodników im. Kopernika.

(O rozwoju węgorzy. — O ropuszce rudej. — O szarańczy wędrownej.)

Historja rozwoju węgorzy w ogólności, a w szczególności Węgorza rzecznego (Anguilla vulgaris) nie jest dotąd należycie wyświetloną pomimo, że nią się zajmowali najznakomitsi przyrodnicy, poczynając od Arystotelesa.

Do niedawna przyjmowano ogólnie, że tarło węgorzy rzecznych odbywa się wyłącznie w morzach, dokąd się udają w pewnej porze roku okazy dorosłe, wędrując stadami licznemi. Taką wędrówkę węgorzy dorosłych nazywają rybacy włoscy „Calata“. Na wiosnę udaje się młody narybek węgorzy napowrót do rzek, wstępując niezliczonemi ilościami. Pochód narybku trwa nieprzerwanie przez ciąg 3 do 15 dni, pochodowi takiemu nie przeszkadzają nawet największe wodospady, jak np. wodospady Renu, Rony, Narowy etc. Wędrówki młodego narybku, którego okazy mierzą od 2 cali do 5 i do 8 długości całkowitej, nazywają rybacy włoscy „Montata“, zaś rybacy francuscy „La montée“. Młode węgorze po osiedleniu się w rzekach potrzebują od 3 do 8 lat, ażeby się płciowo w pełni rozwinąć. Do roku 1873 znano tylko samice węgorzy, dopiero prof. Syrski odkrył samce węgorza rzecznego, i odtąd sądzono, że tylko samiczy narybek wędruje do rzek, zaś samczy pozostaje w morzu.

Taki pogląd, streszczony powyżej, był ogólnie przyjęty, aż do roku zeszłego, gdy Dr. Lorenz, lekarz praktykujący w Churwalden w Szwajcarji, zrobił niezmiernie ważne odkrycie, o którem zakomunikował prof. Immhof. Zajmując się fauną ichtjologiczną dostał Dr. Lorenz pięć okazów węgorza rzecznego, pochodzące z jeziora „Caumasee“ w „Graubünden“, pomiędzy tymi okazami był jeden, mający 47 cm. długości, a więc był to okaz młody, nie dorosły. Do jeziora rzeczonego wpuszczony był narybek węgorza w latach 1882 i 1887, odtąd nie wpuszczano nowego narybku, obecność więc młodych okazów świadczy, że tarło odbywać się musiało i odbywać się musi w samem jeziorze, które nie ma żadnego ujścia i komunikacji z otaczającemi wodami. To odkrycie Dr. Lorenz'a rzuca nowe światło na sprawę rozwojową węgorza rzecznego i potwierdza dawniej uczynione przypuszczenie prelegenta, według którego węgorze, jeziora Pejpusa w Liflandji odbywają tarło w samem jeziorze.

W roku 1886 dokonał Prof. Yves Delage, również ważne odkrycie na stacji zoologicznej w „Roscoff“, znalazł on i stwierdził hodowlą, że tak zwany szklisty węgorzyk, który przez Gronovius'a nazwany został Leptocephalus Morrisii jest to młody osobnik węgorza morskiego „Conger vulgaris“.

Następnie w roku 1896 Prof Grassi w Rzymie i uczeń jego Calandruccio, przyszli do przekonania, że rybki morskie, zwane szklistymi krótkoryjkimi węgorzykami (Leptocephalus brevirotris), są to młode okazy węgorza rzecznego. Okaz takiej rybki, przywieziony z Włoch przez prof. Dr. Mieczysława Kowalewskiego demonstruje prelegent. Prof. Grassi utrzymuje w krótkiem swojem sprawozdaniu, drukowanem w czasopiśmie naukowem angielskiem, że Leptocephalusy żyją w głębiach morskich, wynoszących około 500 m. i że się zakopują w ił na dnie morza i tylko po silnych burzach bywają tu i ówdzie znajdywane na wybrzeżu cieśniny Messyńskiej. Sposób więc życia węgorzyków szklistych podług Grassi'ego byłby odmienny od tego, co o nich mówi sławny ichtjolog angielski Günther, który uważa węgorzyki szkliste za młode różnych gatunków węgorzy morskich, lecz uznaje je za osobniki wykolejone ze zwykłego cyklu rozwojowego węgorzy, a to wskutek warunków zewnętrznych, które zmusiły osobniki rzeczone do życia w przestworzach morskich, takie oso-

bniki nie rozwijają się płciowo i giną bezpotomnie.

Z tymi wyżej wymienionymi poglądami, po części Grassi'ego, a po części Günthera nie zgadzają się fakty, obserwowane przez prelegenta. I tak na wybrzeżu morza Mandżurskiego obserwował prelegent węgorzyki szkliste, które przebywają w znacznej ilości na wiosnę wzdłuż wybrzeży, pędzą życie pelagiczne, lub trzymają się zarośli morskich na głębokościach od 4 do 5 metrów, takie węgorzyki są silnie zbudowane i nie zdradzają wcale stanu, któryby mógł upoważnić do wniosku, że to są wykolejone osobniki.

Wogóle na podstawie faktów, obserwowanych przez prelegenta, zgodnie z faktami, które były stwierdzone przez cały szereg przyrodników, przytoczonych w odczycie, przyjmuje prelegent następujące zapatrywania za prawdopodobne.

1. Węgorze rzeczne przy zwykłych warunkach odbywają tarło w morzach, ale przy zmienionych warunkach składają ikrę i w jeziorach. Rozwój węgorzy rzecznych odbywa się bez przejściowego stanu, zwanego „Leptocephalus'owym".

2. Węgorze morskie przechodzą prawdopodobnie przez okres rozwojowy wyżej wymieniony, czyli, że przez pewien czas mają wygląd węgorzyków szklistych.

3. Szkliste węgorzyki (Leptocephalus'y) pędzą życie pelagiczne i nie są one osobnikami wykolejonymi.

4. Wszystkie zwierzęta szklisto-przezroczyste, są zwierzętami pelagicznemi, pobyt zwierząt w ile powoduje zwykle pewną nieprzeźroczystość ciała.

O ropuszce rudej (Pelobates fuscus. Laur).

Nazwa tego gatunku skrzeka kusego fauny naszej nie jest w polskim języku ustaloną, dotąd nazywają go albo Grzebuszką (Wałecki), albo Modzelicą kciuczanką (Nowicki), albo Huczką (Wajgiel), albo Ropuszką rudą, ta ostatnia nazwa przeszła i do dzieł obcych.

Prelegent komunikuje ciekawe szczegóły, dotyczące kijanek tego gatunku, znalezionych przez p. Złotnickiego, członka towarzystwa Kopernika w okolicy Lwowa późną jesienią r. b.

Okazy kijanek rzeczonych są nadzwyczaj wielkie, długość całkowita wynosi przeszło 11 cm., tylko tylne ich odnoża są wykształcone i to bardzo słabo, bo długość tych odnoży, od nasady po koniec palców mierzona, wynosi zaledwie 5 mm, przypuszczać więc można, bacząc na późną porę roku, w której okazy rzeczone złowione zostały, że byłyby zimowały jako kijanki, nadto można byłoby z drugiej strony zrobić wniosek prawdopodobny, że Grzebuszka przy warunkach sprzyjających, może składać skrzek dwa razy do roku.

Obok tych uwag zaznacza prelegent jeszcze; odmienne ukształcenie szeregów ząbków rogowych, stojących na wardze górnej, powyżej szczęki górnej — zamiast 4 lub trzech szeregów, jak to zwykle znajdujemy u kijanek Grzebuszki, mamy tutaj tylko szereg jeden zewnętrzny i pod nim drugi; dwóch, albo jednego następnego szeregu brak zupełnie.

O szarańczy wędrownej. (Pachytylus migratorius. L.)

Przedstawia prelegent parę okazów szarańczy wędrownej, która r. bm. miała grasować na Podolu galicyjskiem; oba okazy pochodzą z rzeczonej okolicy, nieopodal miasteczka Skały, przysłane one zostały p. M. Grochowskiemu, który je oddał do gabinetu zoologicznego.

Pan Mieczysław Grochowski oddał do gabinetu zoologicznego także niezmiernie obfity zbiór okazów kiełza strumieniowego, który to gatunek wystąpił w strumieniu okolicy Trościenka w niezwykłej ilości.

Arnold Boecklin

przez

OLĘ HANSONA.

(Dokończenie).

Zkąd to pochodzi, że jedno dzieło sztuki sprawia nam wrażenie przyjemności, drugie nieprzyjemności? Pytanie takie znaleźć może odpowiedź tylko w psychologji czynności twórczej. To, że z dzieła sztuki odczuwamy wrażenie rozkoszy, oznacza, że artysta stworzył je z własnej rozkoszy; a wrażenie przykrości, z jakiem my w innym wypadku dzieło sztuki przyjmujemy, jest to samo, z jakiem dusza artysty z niem się nosiła i niem się zajmowała. Z dziełami sztuki jest jak z ludźmi: mają duszę, indywidualność, coś nieokreślonego, czego ująć niepodobna, co jednakże główne wrażenie wywołuje; wibracja, wychodząca od dzieła sztuki i nas przenikająca, jest tą duszą. A ta wibracja, którą uczuwamy, jest tą samą, dzięki jakiej artysta niegdyś stał się produktywnym; dzieło sztuki tylko ją przechowało przeniosło z niego na nas, jest niczem innem, jak ukształtowaną wibracją, — duszą, którą ubrano w cielesną powłokę.

U Böcklina owa pierwsza wibracja była uczuciem rozkoszy. Zachowała się czystą, niezmąconą, nie umniejszoną przez cały proces tworzenia, aby się nam wreszcie udzielić w wrażeniu głównem i ogólnem

A jest uczucie to przyjemności bardzo osobliwego rodzaju: jestto uczucie rozkoszy *par préférence*, pozytywne, niezamącone uczucie rozkoszy.

Prawdopodobnem jest, że każdemu aktowi poczęcia, twórczości, płodności, towarzyszą uczucia rozkoszy w świecie duchowym, jak fizycznym. Poczęcie jakiejś idei dokonuje się w rozkoszy: a wartość wewnętrzna idei może przytem wyjść całkiem z uwagi Moralnie jestto złem, ale faktycznem psychologicznie, że nawet u zbrodniarza złe pomysły schodzą się z owemi fizjologicznemi zmianami, które psychologicznie objawiają się jako uczucie rozkoszy. A sądzę, że tutaj bardzo trudno poprowadzić granice pomiędzy niezwykłem, a normalnem; jestto, zdaje się, jeden wspólny, nieprzerwany rząd stopni, który od najskrajniejszego patologicznego wypadku prowadzi do najwyższej idealistycznej czystości i od zbrodniczego czynu, do czystej duchowej idei. To nie przeszkadza jednakże ustanowieniu skali wartościowej, tak całkiem poprostu, jak kobietę, co się jednemu mężczyźnie tylko i całkiem odda, stawia się wyżej niźli Venus vulgivagę!

Skierujmy pytanie do samych siebie, wśród jakich uczuć u ich twórców powstały dzieła jak: „Upiory", albo „Pot-Bouille", „Sonata kreutzerowska", albo „Panna Julja"? Jestem przekonany, że pierwsza chwila, że chwila poczęcia, chwila „inspiracji", kiedy idea poraz pierwszy się pojawiła w umyśle poety, oznaczała olbrzymie wyzwolenie się rozkoszy. Ale jestem również przekonany, że dalszy proces twórczy przeplatał się czynnikami przykrości różnego rodzaju. A gdyby pójść na drugą stronę wstecz, poza chwilę poczęcia i szukać tego, co poza nią leży, całkiem pewnie znalazłoby się kłąb świadomych i nieświadomych wrażeń przykrości, który raz tylko, w jedynej chwili, kiedy nić poczęła się rozwijać, wywarł wrażenie rozkoszy, aby potem zaraz przy rozwijaniu powrócić do właściwej swej natury. Objawy przykrości to były, które tego poetę twórczym uczyniły: uczucie rozkoszy było tylko samem w sobie zawsze jednakowem zjawiskiem ubocznem.

Nasze czasy są bardziej może, niż którekolwiek inne, czasami uczuć przykrych. Źródła ich tryskają obficiej i głębiej, niż kiedykolwiek. Nigdy przepaść między jednostką a ogółem nie była tak wielką, lub raczej nie zdawała się tak wielką, jak teraz. Przeciwieństwo między wewnętrznym światem indywidualności, a światem zewnętrznych urządzeń stało się bardziej jaskrawem, niż kiedykolwiek. A to ognisko niezadowolenia, przeciwieństwo, konflikt, rozłam, przedostało się też do każdej poszczególnej jednostki; nie może odzwierciedlać całej budowli w jej spokojnej i zamkniętej harmonijnie jednolitości, lecz jej życie staje się do pewnego stopnia tylko indywidualnym bojem w zakresie nieprzejrzanego mnóstwa idei i systemów, rozwiązań zagadki świata i utopji na temat jego zadowolenia. Wszystko się chwieje i drży, poza nami i w nas; nigdy brak archimedesowego punktu nie był ludzkości tak bolesnym i nigdy tak wielkim. Jestto właśnie to, czego doznawali wszyscy nasi wielcy poeci, w których się czas zindywidualizował; głęboko odczuwać i w ostrych formach to przedstawiać jest ich tajemnem cierpieniem i siłą ich tajemną: gdyż przez to właśnie uczucie przykrości, stali się oni płodnymi; ono stało się tonem i formą u nich, nabrzmiało w pieśń i wyrosło w kształty.

W jaskrawem przeciwieństwie do nich wszystkich stoi sam jeden tylko Böcklin. On jest reprezentantem uczucia zadowolenia wśród produkujących duchowo w naszych czasach. On czerpie z zadowolenia i napawa zadowoleniem. Nietylko, że nic nie ma z ibsenowskiej gryzącej goryczy, lub zolowskiej „radości ze śmierdzenia", tołstojowskiej rozkoszy z biczowania samego siebie, lub Nietzschego okrótnej wściekłości do pokonywania samego siebie; ani owej słodkiej tęsknoty, która dla ludzi dzisiejszych — którzy nietylko świadomszymi, ale też czulszymi się stali — jest tak charakterystyczną, i właściwie jest uczuciem braku, a więc zakapturzonem uczuciem niezadowolenia w swej najsubtelniejszej, najdyskretniejszej, najnowożytniejszej formie — i jej także nie znaleźć u Böcklina. U niego jest tylko czysta i pozytywna rozkosz. Uczucie rozkoszy jest u niego nietylko formą pod którą twórczość się przejawia, rozkoszą z tworzenia; ona jest treścią samą, daje materjał; towarzyszy nie tylko poczęciu idei, jest jednem z nią, jej istotą samą; jest zatem obecną w czasie całego procesu twórczego, zupełnie jak przed i po chwili tworzenia była, jako kłębek uczuć rozkoszy. Ona jest jednem z böcklinowskiem „ja", böcklinowskiej istoty najbardziej właściwą formą bytu, jej całkiem właściwym, w naszych czasach zupełnie zanikłym, harmonijnym i dominującym spokojem — spokojem życiowym.

Istnieje Böcklina portret własny, którego reprodukcja boczną furtką dostała się do handlu. Mistrz stoi z podniesionym pędzlem, jakby był właśnie przy malowaniu, lecz dla jakiejś przyczyny nagle się zatrzymał. Przyczyna w postaci kościotrupa, stoi tuż za nim i gra mu koło ucha swe melodje na skrzypcach. Mistrz nie zdaje się nazbyt zdumionym; wprawdzie zwleka z następnem pociągnięciem pędzla, ale

odwraca tylko na pół głowę do zrzędnego straszydła i nie uważa za godne trudu obejrzeć się na nie. Przysłuchuje się mocno, ale zdaje się, że gra nie ma mocy zachwiania go w jego poglądach na świat. Ma nawet nieco żartobliwie humorystyczną minę, jakby chciał powiedzieć: Starowino! nie uda ci się! Widziałem raz nawet wielkiego Pana i odmalowałem go, podczas gdy głupi pasterz przerażony uciekał, a bożek wyglądał szyderczo, z brodą trochę kozią, tak, ale bardzo dobroduszny. Raz także przy sposobności widziałem boga morza z całą rodziną i odmalowałem, jak na bryle lodu pod biegunem północnym odbywali spoczynek południowy, a wszyscy wyglądali dziwnie dobrodusznie stary, stara, dzieci i wieloryb domowy. Graj więc swoje pieśni, które znów nie są tak bardzo straszne, jak to twoje nieznośne zrzędzenie w nas wmówić się stara; bo widzisz, odkąd ojca Pana słyszałem grającego na fujarce trzcinowej, wiem, że twój cały instrument jest tylko jednym jedynym tonem na niej, twoja gra brzmi, jak szamotanie i krzyk i głośny niepokój; coś podobnego brzmiało u starego Pana, ale tam tonęło w morzu tonów, tak potężnem, że jego cały szum, robił już tylko wrażenie spokoju.

Adam Bełcikowski.

Dramata i komedje.

Kraków 1893.

Pięć sporych tomów, zawierających trzynaście dramatów i pięć komedji, przedstawia niemały dorobek literackiej pracy. Brak wszelkiego słowa wstępnego nie daje nam wyjaśnienia, jak długiego czasu jest rezultatem, sądząc jedynie z odznaczonego na krakowskim konkursie w r. 1875 dramatu wnosić można, iż od dość dawna pan Bełcikowski na niwie dramaturgji naszej pracuje. Utwory te, po większej części poważne, ciężkiego kalibru sztuki, świadczą o długich studjach historycznych, oraz o zamiłowaniu dziejów ojczystych, w których skarbnicy autor czerpie obfite materjały dla swych tematów.

Cały zbiór da się podzielić na dramata ściśle historyczne — i te są najliczniejsze — obrazy na tle historycznem osnute i komedje, które częścią historycznej, częścią obyczajowej są treści.

Z dramatów historycznych pierwsze miejsce bezsprzecznie przynależy się „Bolesławowi Śmiałemu“ i „Mieczysławowi II.“. Obie sztuki z zewnętrznej swojej strony mają dużo ze sobą podobieństwa. To samo niemal tło dziejów, jednaki stopień kultury narodu, nadto trafnie schwycone podobieństwo rodowe i narodowe, jakie cechuje obu głównych bohaterów, czynią oba dramata prawie bliźniemi dziećmi jednego pióra. Na tak jednolitej podstawie potrafił wszakże autor stworzyć dwa silnej odrębności dzieła. W samym układzie sztuk są znaczne różnice: podczas gdy „Mieczysław II.“ jest długą, udramatyzowaną opowieścią dziejów nieszczęśliwego króla, „Bolesław“ jest bardziej żywym, i bardziej skoncentrowanym, jeśli się tak wyrazić można, utworem dramatycznym.

Główną cechą dodatnią prac pana Bełcikowskiego są jasno, wyraźnie kreślone charaktery. Rys ten w obu wyżej wymienionych dziełach ujawnia się bardziej, niż w innych. Stworzywszy mnóstwo postaci, potrafił autor dać każdej inne oblicze, zachowując je niezmiennemi od początku do końca. Wyraźnie mianowicie zarysowuje się Bolesław Śmiały. Jest to energiczny, czynny, śmiały a zapędliwy władca, pod którego żelazną ręką wszystko ugiąć się musi, którego samowola żadnych pęt nie zniesie. Zatarg jego z biskupem ma cechy czysto osobistej niechęci, jaką ocena jego czynów w nim wzbudza. Zrazu nawet z pewną dobrodusznością prosi upominającego kapłana, aby mu w drogę nie wchodził; gdy ten jednak w gorliwości swej nie ustaje i coraz natarczywiej domaga się zmian postępowania, król posuwa się do grubobarbarzyńskiego, czynu, zabija bezbronnego, modlącego się przed ołtarzem kapłana.

Walka władzy monarszej z kościelną na drugim występuje planie; nawet scena, w której król, urągając biskupowi, zaprasza go na ucztę, gdzie za biesiadnym stołem królowała Krystyna, a na słowa upomnienia odpowiada szyderstwem i urąganiem nad potęgą kościoła, nawet ta scena ma bardziej cechę osobistej urazy, niż żądzy zachowania odrębności swej w obec Rzymu.

Zaledwo przy końcu dramatu charakter tej głuchej walki silniej się zaznacza. Kiedy już po rzuceniu klątwy król widzi się zohydzonym przez własny naród, opuszczonym przez wszystkich, nawet przez kochającą Krystynę, a jako jedyną drogę ratunku ma przed sobą ukorzenie się przed głową kościoła, nawet wówczas myśl tę ze wstrętem odsuwa. Również w ostatnich chwilach życia, gdy złamanego, zgnębionego opuszczeniem i zgryzotami sumienia, idący do Rzymu rodacy namawiają, aby wraz z nimi szedł kościół przebłagać, — Bolesław z zaciętością rozpaczy, pojednanie stanowczo odtrąca. Lecz i tu nie tyle przemawia obawa poniżenia godności narodowej, ile zaciętość i gorycz powalonego silniejszą dłonią przeciwnika.

Biskup Bełcikowskiego jest to mąż święty, nieustraszony w wypowiadaniu prawdy, gorący

rzecznik praw pokrzywdzonego przez samowolę monarszą narodu. Śmierć jego jest męczeństwem za prawdę i sprawiedliwość.

W Mieczysławie II. przedstawia autor również wyniosłego i samowolnego władcę, który umiał korzyć przed sobą własny naród i swoich sąsiadów. Typ to jednak człowieka wcale różny. O ile król Bolesław jest srogim, żelaznej ręki władcą, o tyle Mieczysław przy również otwartej i wspaniałomyślnej naturze posiada dużo miękkości i dobroci serca.

Zły los prześladuje go w osobie ohydnego brata, który trawiony zazdrością przygotowuje mu zgubę. Ponad prawość, roztropność w rządach, waleczność w boju straszniejszą jest ta zawiść złego człowieka. Mieczysław upada nie wskutek własnych czynów, lecz pod fatalizmem losu. Z wyżyn panowania, sławy i szczęśliwego żywota strącony został nagle w przepaść niedoli i najstraszniejszych upokorzeń. Wkrótce potem szczęśliwym zbiegiem okoliczności znowu na tron ojczysty powraca: lecz jest to już człowiek inny, uszczuplenie granic państwa, doznane upokorzenia, niedola złamały wyniosłą duszę; nie posiada już dosyć hartu i energji, aby po dawnemu silnie ster państwa ująć, straty, jakie kraj jego nawiedzają, stają się dlań wciąż niższemi stopniami coraz głębszego upadku. Dobrze jest oddany ten gorzki nastrój człowieka, który w pełnym puharze szuka zapomnienia, a za towarzysza obiera sobie — błazna. W chwilach ostatnich, kiedy opanowywa go szaleństwo, staje przed nim wizja wielkiego ojca, groźna i wyniosła i żąda rachunku z powierzonych mu losów państwa. Rozpacz tłumiona ciągle ucztami i winem, wybucha strasznym napadem choroby i życie skołatane przecina.

Oba utwory posiadają niemało stron dodatnich, a spokój w tworzeniu i pewna powaga nadają im niejaki zakrój dzieł klasycznych. Napotykają się ustępy doniosłej artystycznej wartości i obrazowo piękne. Mianowicie odznacza się tem „Bolesław Śmiały“. Scena wyklęcia króla, chociaż żywo przypominająca dramat Gutzkowa, jest wstrząsającej grozy i imponuje zacięciem większego stylu. Również cały akt piąty, tak jak w „Mieczysławie“ pierwszy i piąty dają obrazy zdolne poruszyć widza. Mimo te jednak rzetelne zalety oba dramaty, nie wywierają należytego wrażenia. Słabość akcji, monotonność arcydługich przemówień, djalogi nieożywione, kreślenie uczuć przez ich rozpamiętywanie, co wręcz przeciwny założeniu autora odnosi skutek, podrywają wartość ich literacką, czynią je mniej zajmującemi i nie nadającemi się na scenę, jakby to w przeciwnym razie być mogło.

We wszystkich pracach pana Bełcikowskiego, nader sympatycznie przebija szlachetna tendencja autora, szczera miłość ojczystego kraju, wysoki poziom prawości każdego utworu, krytyka jednak musi się liczyć ze stroną literacką, a ta w pierwszych mianowicie dziełach, niewolna jest od usterek, które ich na pierwszy stopień wartości literackiej postawić nie mogą.

Reszta dramatów, jak Władysław Warneńczyk, Przysięga, Hunyady i inne posiadają w mniejszym lub większym stopniu cechy niżej wymienione. Dramat „U kolebki narodu“ odznacza się nie małą poezją, nie wolny jest jednak od stron słabych.

Z pomiędzy rozwlekłych historycznych utworów świetnie odbija dramat na tle historycznym osnuty, „Kmita i Bonarówna“. Jest to krótka karta z życia dwojga ludzi. Zofja Bonarówna uosobiona anielskość, postać eteryczna, rozkochała się czule w rycerskim panu Kmicie, na rozkaz wszakże ojca, wyrzekła się nader łatwo uczucia, również według rozkazu wychodzi za Firleja, a nawet wedle ustaw kochać go zaczyna. Odepchnięty Kmita, szalejący z miłości, nie chce pogodzić się ze swym losem. Gdy wszelkie próby przebłagania ojca okazały się bezskutecznemi, w przebraniu pachołka wkrada się na jego zamek, aby zobaczyć się z ukochaną. Lecz tu przekonywa się naocznie o jej zobojętnieniu i względach dla Firleja Wraca więc na dwór królowej Bony, a idąc za podszeptami kusiciela, dworaka Pełki, oddaje się grze, życiu hulaszczemu, szaleństwom dworu. Miłością do królowej stara się omamić zbolałe serce, ogniem użycia wypalić krwawiącą się wciąż ranę. Włada sobą tak dalece, iż pozornym spokojem omamia wszystkich; zaproszony na wesele Zofji, przybywa w orszaku królowej. Lecz ta próba okazuje się ponad jego siły; widok utraconej kochanki burzy w jednej chwili cały, mozolnie wzniesiony gmach zapomnienia. Pełen najczarniejszych uczuć od biesiadnego stołu ucieka do ogrodu i tu przebiegając cieniste aleje, natrafia niespodzianie na gruchającą parę nowozaślubionych. Ten widok staje się ciosem ostatnim; okowy, jakie na siebie nałożył, pękają nagle, sprawczynię swego nieszczęścia pragnie unicestwić tak, jak ona go unicestwiła. „Spiesz się, Kmito, — woła do siebie - jej puste serce, jak pęcherz rozetnij, a potem szukaj w swojem, jak głęboko spoczywa w niem zbrodnia!“

(C. d. n.). *W. Dalecka.*

Z drukarni Z. Golloba.